

Z klasztoru ku wolności w Chrystusie

Świadectwo nawróconego księdza

Hugh Farrella

„Przetoż teraz żadnego potępienia nie masz tym, który będąc w Chrystusie Jezusie nie według ciała chodzą, ale według Ducha.” (Rz 8,1).

Pobożne pragnienia



Pragnąc żyć z Chrystusem, postanowiłem zostać kapłanem. Jako dziecko katolickich rodziców, wierzyłem, że mój kościół jest jedynym prawdziwym i poza nim nie ma właściwie szans na zbawienie. Dogmat ogłaszali wciąż na nowo kolejni papieże: Innocenty III, Bonifacy VIII w bulli „Unam Sanctam”, Klemens VI, Benedykt XIV, Leon XIII, Pius XII i Pius IX: „Wiara nas skłania do utrzymywania i wyznawania, że jeden jest KOŚCIÓŁ ŚWIĘTY, KATOLICKI I APOSTOLSKI. [...] Poza nim nie ma zbawienia ani odpuszczenia grzechów”¹. Nie przeszło mi przez myśl, że zbawienia mógłbym szukać poza nim.

Od najmłodszych lat chciałem być księdzem. Urodziłem się 2 kwietnia 1911 roku w Denver (Colorado, USA). W naszej dzielnicy mieszkały rodziny irlandzkie, szkockie i słowiańskie, w większości katolicy. W takim środowisku rzucała się w oczy ogromna władza miejscowych księży i respekt, jakim ich darzono. Ale nie tylko władza i respekt zdecydowały o moim wyborze; w powołaniu utwierdziła mnie przede wszystkim idea godności kapłańskiej głoszona przez kościół rzymski.

Według kościoła katolickiego kapłan - wypowiadając modlitwę konsekracji podczas Eucharystii - ma moc przemieniać chleb i wino w

¹ Bonifacy VIII, „Unam Sanctam”, 13, [w:] Breviarium Fidei, Poznań 1964, s. 74.

prawdziwe ciało i krew, duszę i bóstwo Jezusa Chrystusa. A ponieważ nie sposób oddzielić ludzkiej natury Jezusa od Jego bóstwa, to chleb i wino po przemienieniu w ciało i krew Jezusa Chrystusa mają być obiektem czci boskiej.

Katolicy wiedzą też, że gdy wyznają grzechy księdzu, ten ma moc ich odpuszczenia. Sobór trydencki obradując po Reformacji ogłosił w 1545 roku: „Jeżeli ktoś twierdzi, że [...] nie sami kapłani są szafarzami rozgrzeszenia - niech będzie wyklęty.”² Poszedłszy do spowiedzi już w siódmym roku życia, prędko pojąłem, że moc ta daje księżom ogromną władzę nad życiem wiernych stawiając ich ponad wszelką władzę świecką na tej ziemi.

Kierowała mną nie tylko tęsknota za władzą i godnością kapłana, ale i szczere pragnienie zbawienia duszy. Z nauk księży i sióstr zakonnych wynikało, iż nie mam szans na niebo tuż po śmierci; katechizm wyjaśniał, że trzeba odcierpieć karę doczesną za grzechy. Rzym każe wierzyć, iż „dusze [prawdziwie pokutujących, którzy zakończyli życie w miłości Boga jeszcze przed godnym zadośćuczynieniem czynami pokutnymi za popełnione grzechy i zaniedbania] zostaną po śmierci oczyszczone karami czyścicowymi”³. Pojąłem, że popełniając na porządku dziennym grzechy powszednie, a nieraz i grzech śmiertelny, będę musiał w czyścicu przebywać bardzo długo.

W oficjalnej nauce kościoła katolickiego nader mgliście wyraża się o cierpieniach czyścicowych; ale bujna wyobraźnia irlandzkich księży i zakonnice malowała takie męki i boleści, iż jako dzieci drżeliśmy z lęku, gotowi na wszystko, byle tylko uniknąć czyścica. Za młodu wyrozumowałem sobie, że jeśli kapłan przez ofiarę eucharystyczną może wyzwalać dusze w czyścicu cierpiące, to będąc księdzem pomogę też własnej duszy - bo po mej śmierci dusze poratowane moimi mszami będą miały obowiązek wstawiać się za mną przed tronem Królowej Niebios, Najświętszej Maryi Panny, a ona wstawi się za mną u Syna. Było to zgodne z nauką kościoła: „Do złagodzenia tego rodzaju kar dopomaga

² Sobór trydencki, XIV sesja, kan. 10, 475 (1710), [w:] Breviarium Fidei, Poznań 1964, s. 535.

³ XVII sobór florencki, Dekret dla Greków, 112 (1304), [w:] Breviarium Fidei, Poznań 1964, s. 717.

[dusze w czyśćcu] ofiara Mszy św."⁴; „Nasza modlitwa za zmarłych nie tylko może im pomóc, lecz także sprawia, że staje się skuteczne ich wstawiennictwo za nami”⁵. Postanowiłem zatem, że zostanę księdzem, a w stosownym czasie o decyzji tej powiadomię odpowiednie władze.

Biblia w Kościele Rzymskokatolickim

Długo trwałaby opowieść o latach przygotowań do kapłaństwa; opiszę więc tylko punkty zwrotne mego życia. Droga ku pewności zbawienia była długa, pełna przeciwności i pokus. Wielu pyta, czy znałem Biblię, czy też była to księga dla mnie zakazana. Otóż do niższego seminarium duchownego prócz mszału i modlitewników zabrałem trzy książki: *O prawdziwym nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny* Alfonsa Ligouriego, *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasza á Kempisa oraz Nowy Testament w wydaniu rzymskokatolickim. Widniał na nim napis: „Trzyletniego odpustu udziela się wszystkim wiernym, którzy czytają Pismo Święte co najmniej przez kwadrans z uszanowaniem należnym Słowu Bożemu jako lekturę duchową”. Czemu więc katolicy nie garną się do Biblii, skoro zależy im na odpustach (czyli pozasakramentalnym odpuszczeniu kary doczesnej za grzech pozostałej do odbycia po odpuszczeniu tego grzechu)? Zauważmy, iż odpustu udziela się tylko wtedy, gdy Biblia jest czytana jako „lektura duchowa”, czyli nie w celu jej badania i interpretacji. A ponieważ wierni wiedzą, że odpust można uzyskać innymi, prostszymi środkami, jak choćby czynienie znaku krzyża (siedem lat odpustu, jeśli zegnamy się wodą święconą) itd., mało kto korzysta z lektury Pisma, bojąc się zresztą, by wbrew nauce kościoła nie zabrnąć w interpretację Słowa Bożego.

Gdy po latach opuszczałem klasztor, wciąż miałem ze sobą trzy wspomniane książki. *O prawdziwym nabożeństwie* nie miała okładki - tak często była w użyciu; okładka *O naśladowaniu Chrystusa* trzymała się na ostatnich niteczkach. A Nowy Testament BYŁ WCIAŻ JAK NOWY. Zaglądałem do niego tylko wtedy, gdy chciałem porównać przekład łaciński z angielskim.

⁴ Ibid.

⁵ *Katechizm Kościoła Katolickiego*, Pallottium, 1994, pkt. 958, s. 235.

Indoktrynacja

Plan zajęć w seminarium układa się tak, aby pozostawić jak najmniej czasu na szczerą refleksję. Owszem, co rano jest czas przeznaczony na medytację; ale punkty do rozważań wyznacza się z góry i głośno odczytuje, wypuszczanie zaś myśli na samodzielne wycieczki grozi grzechem powszednim.

Codzienny program jest obmyślany tak misternie, że z wolna ulega erozji samodzielność myślenia, a osobowość kształtuje się tak, aby pasować do wzorca ustalonego przez kościół, korzystnego w realizacji jego celów: zupełnego wyparcia się swej tożsamości. Mimo wielkiej estymy, jaką ksiądz katolickiego darzy laikat, dla władzy kościelnej tenże ksiądz to maleńki pionek w strategii zdobywania świata. Jeśli strategii tej ma on się wydatnie przysłużyć, musi przejść gruntowne pranie mózgu. Osiąga się to podobnie do metod komunistów: mało snu, dużo postu i rozmaite sposoby indoktrynacji.

Gdy w umyśle rodzi się wątpliwość względem którejkolwiek z ważniejszych doktryn rzymskokatolickich, od razu ją odrzucam, gdyż wpojono mi, że świadome igranie z taką wątpliwością jest symptomem odebrania mi przez Boga powołania kapłańskiego i narażaniem na szwank mojego zbawienia.

Wybór zakonu

Pod koniec niższego seminarium duchownego miałem wybrać, czy zostanę księdzem diecezjalnym (podległym władzy biskupa i pracującym w parafii albo jako kapelan jakiejś instytucji), czy też ojcem zakonnym (który złożył trzy śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa i żyje w klasztorze bądź domu zakonnym). Uznałem, że księżom diecezjalnym, mocno narażonym na pokusy, trudno wysłużyć sobie zbawienie; wiedziałem też, że jak dotąd kościół katolicki kanonizował (oficjalnie ogłaszał, że czyjaś dusza jest w niebie) tylko jednego księdza diecezjalnego: Proboszcza z Ars Jana Marię Vianney. Skoro więc - myślałem - trudno uzyskać zbawienie księdzu diecezjalnemu, to bezpieczniej zostać mnichem czy zakonnikiem.

Ostatni rok niższego seminarium upłynął na rozważaniach nad najwłaściwszym dla mnie zakonem. Dobrze znałem słynne zakony:

Benedyktyni, Dominikanie, Bernardyni, Franciszkanie, Trapiści, Towarzystwo Jezusowe (Jezuici), żaden jednak mnie nie pociągał; szukałem zakonu o bardzo surowej regule, gdzie mógłbym zyskać pełną gwarancję zbawienia. Wydawało mi się, że znajdę to wszystko w Zakonie Matki Boskiej z Góry Karmel, czyli u popularnie zwanych Karmelitów Bosych.

Zakon założyli krzyżowcy i inni pielgrzymi do Ziemi Świętej. Po wyjeździe krzyżowców mnisi pozostali, zamieszkując grotty Synów Proroków na górze Karmel. Patriarcha Jerozolimy Albert nadał im bardzo prostą regułę, którą zachowali do połowy XIII wieku, kiedy to muzułmanie wygnali ich z Ziemi Świętej. Część wygnańców osiadła w Mantui we Włoszech, część w angielskiej wiosce pod Cambridge. Pierwszym przełożonym generalnym w Anglii był Szymon Stock. Jemu właśnie miała ukazać się Maryja, dając słynną obietnicę Szkaplerza.



Brunatny szkaplerz

W broszurze Irlandzkiego Towarzystwa Prawdy Katolickiej zatytułowanej „Brunatny Szkaplerz, napisał ks. E. R. Elliott (OCD)” wizję tę i obietnicę opisano na stronie 5: „[Maryja] ukazała mi się z ogromnym orszakiem, a trzymając w dłoniach habit (szkaplerz) Zakonu powiedziała: Będzie to szczególna łaska dla ciebie i dla wszystkich Karmelitów, że KTOKOLWIEK UMRZE NOSZĄC TEN HABIT, NIE UCIERPI OD OGNIĄ WIECZNEGO”. Szkaplerz może wykonać każdy; trzeba tylko przykroić kawałek ciemnobrunatnej tkaniny wełnianej w dwa spore kwadraty bądź prostokąty i połączyć je tasiemkami. Pierwszy nasz szkaplerz musi pobłogosławić kapłan uprawniony do udzielania takiego błogosławieństwa.

Z noszeniem karmelickiego szkaplerza łączy się i inna obietnica: przywilej szkaplerza. Otrzymać ją miał papież Jan XXII podczas rzekomego objawienia mu się Maryi. Cytuję ze wspomnianej broszury: „Św. Jan od Krzyża (zm. 1591), wielki święty karmelitański i Doktor Kościoła, gorąco wierzył w przywilej szkaplerza. Na krótko przed śmiercią dla dobra swoich przyjaciół i własnego przypomniał sobie, że Matka Boża Karmelska

zstępuje w soboty do czyścicy z łaską i pomocą i wydobywa z niego dusze pobożnych, którzy nosili jej Święty Szkaplerz”.

Katolicy posiadający szkaplerz, często zastępują go medalikiem. Medalik taki musi mieć z jednej strony wizerunek Chrystusa, a z drugiej Maryi, musi też pobłogosławić go kapłan.

Klasztorna codzienność

Pierwszy rok u Karmelitów Bosych spędziłem w nowicjacie, szykując się do pierwszych ślubów. Oddawałem się głównie modlitwie i medytacji. Poza normalnym rozkładem dnia jako nowicjusze mieliśmy dodatkowy czas modlitw i zwiększoną dawkę pokuty i umartwień. Surowo przestrzegano się ciszy. Wyjąwszy około 30 minut przeznaczonych co dzień na rekreację, nowicjusze nie mogą ze sobą rozmawiać. Podczas Wielkiego Postu i Adwentu obowiązuje zupełny zakaz rozmów; wtedy podczas rekreacji nowicjusze milczą, odmawiając różaniec, pokutę itd. W nowicjacie dzień zaczyna się o północy. Cała społeczność, wezwana przez dzwonnika, zbiera się w kaplicy, czyli klasztornej chórze. Ostatnie uderzenie zegara rozpoczyna Liturgię Godzin: Śpiewa się lub recytuje jutrznię, złożoną z dziesięciu psalmów i dziesięciu lekcji ze Starego i Nowego Testamentu oraz komentarza któregoś z pierwszych ojców kościoła. Potem kolej na pięć psalmów pochwalnych oraz Benedictus - ta część nabożeństwa nazywa się Hymnami. Wreszcie zakonnicy wracają do łóżek i czekają na kolejne bicie dzwonu, rozbrzmiewające o brzasku za kwadrans piąta.

Łóżko nie powinno się kojarzyć z miękką puchową kołdrą ani nawet mniej luksusowym, ale względnie wygodnym pościeleniem. Łóżko karmelity to trzy deski oparte na dwóch kozłach i nakryte cienką sklejką. Całość uzupełniają trzy koce.

Pozostałe wyposażenie mniszej celi współgra z wyglądem łoża: mały stolik i taboret. Nic poza tym.

Godziny modłów

Po kolejnej pobudce grupa nowicjuszy znów podąża do chóru i recytuje primę i tercję, składające się każda z trzech psalmów oraz z krótkiej lekcji

i kolekty (krótkiej modlitwy). Na koniec tej części Liturgii Godzin grupa spędza wspólnie jeszcze godzinę na cichej modlitwie na klęczkach.

Po cichej modlitwie zaczyna się dzień - i msze. Jeśli zakonnik jest kapłanem, odprawia prywatną mszę przy jednym z licznych ołtarzy klasztornych, zwykle w asyście współbrata jako ministranta. Jeśli dopiero szykuje się do kapłaństwa, idzie na mszę wspólną, którą odprawia kapłan wyznaczony na dany tydzień. Na mszy są obecni bracia świeccy, wykonujący w klasztorze wszelkie prace. Uczestniczący we mszy winni przystąpić do komunii. Jako że poranna Liturgia Godzin, cicha modlitwa i msza zajmują około trzy godziny, śniadanie jedzą zakonnicy zwykle dopiero o ósmej. Jest to chleb i kawa, spożywane na stojąco, gdyż w starej regule zakonu nie ma wcale mowy o śniadaniu. (Możliwość śniadania dopuszczono niedawno ze względu na słabość współczesnego człowieka).

Przedpołudnie upływa na nauce samodzielnej, zajęciach i modlitwie indywidualnej. W nowicjacie wolno studiować tylko przedmioty duchowe oraz oczywiście Regułę Zakonu Karmelitańskiego. Po ślubach zakonnik studiuje teologię i inne przedmioty niezbędne do otrzymania święceń kapłańskich.

Tuż przed południem nowicjusze idą na chór, gdzie recytują ostatnie dwie godzinki nabożeństwa porannego: sekstę i nonę, złożone podobnie jak prima i tercja z trzech psalmów, krótkiej lekcji z Pisma i kolekty na dany dzień. Koniec nabożeństwa, aż do Anioła Pańskiego, to rachunek sumienia: trzeba sobie przypomnieć grzechy popełnione od zeszłego wieczora i prosić Boga o odpuszczenie. Jeśli popełniło się grzech śmiertelny, to przy najbliższej okazji należy udać się do spowiedzi; w wypadku grzechów powszednich wystarczy akt żalu. Po modlitwie „Anioł Pański” zakonnicy idą do refektarza (jadalni) na główny posiłek dnia.

Klasztorny wikt

Posiłki spożywa się w milczeniu. Wyjątkowymi dniami są Wielkanoc, Zielone Świąta oraz Świąta Matki Boskiej Karmelskiej, św. Teresy z Avila, św. Jana od Krzyża, Wszystkich Świętych, Niepokalanego Poczęcia, Boże Narodzenie i kilka innych. Podczas posiłków nie panuje jednak cisza, gdyż

zakonnik wyznaczony na dany tydzień odczytuje fragment z jakiejś lektury duchowej bądź Reguły wewnętrznej zakonu.

Jedzenie jest niewyszukane; składa się zwykle z zupy, drugiego dania: ryby bądź jaj, dwóch warzyw i owoców. Reguła Karmelitów Bosych zabrania jedzenia mięsa, chyba że na zalecenie lekarza. Lecz zalecenia takie zdarzają się rzadko, bo zdaniem większości znawców medycyny ryby i jaja wystarczą w zupełności. Gdy któryś brat ma jednak spożyć mięso, zasiada w niższej części refektarza, zakryty zastoną przed wzrokiem reszty. Tę część refektarza żartobliwie nazywa się „piekłem”.

Po posiłku każdy rozgląda się, czy w refektarzu nie potrzeba jego pomocy. Czasem może zastąpić czytającego bądź roznoszących posiłki, aby i oni mogli zjeść. Inni dokonują wtedy publicznej pokuty: Stają z ramionami rozłożonymi w kształcie krzyża, całują obute w sandały stopy innych, przyjmują ciosy w twarz od innych bądź leżą płasko na progu refektarza, tak by wychodzący przechodzili nad nimi. Te i inne praktyki pokutne mają wysłużyć niebo i powiększyć stan naszego „konta duchowego”. Po posiłku południowym w większości klasztorów karmelickich nadchodzi czas rekreacji, mającej służyć braterskiej wymianie refleksji duchowych i zachęcaniu się do zachowywania zasad życia duchowego. W praktyce czas ten bywa bardzo nieprzyjemny, i popełniane są wtedy najprzykrzejsze czyny. Trudno zamknąć w nienaturalnym środowisku klasztoru dwudziestu i więcej młodych, zdrowych mężczyzn nie licząc się z tego psychologicznymi reperkusjami. Stąd zakonnicy zwykle z ulgą witają koniec rekreacji i na czas popołudniowego odpoczynku, z hiszpańska sjeisty, wracają do cel.

Nieustanne powtarzanie psalmów

Po sjeście czas na nieszpory i kompletę. Nieszpory obejmują pięć psalmów, Magnificat i kolektę na dany dzień, a kompleta to trzy psalmy, Psalm Południowy i modlitwa (kolekta) zamykająca. Kończy się codzienna Liturgia Godzin, wedle dokonanego przez pierwsze opactwa benedyktyńskie podziału na siedem części, jak w psalmie: „Chwałę cię siedm kroć przez dzień, dla sądów twoich sprawiedliwych.” (Ps 119,164)

Wielu pyta, czemu mimo codziennych recytacji i śpiewów około 30 psalmów (tygodniowo przeszło cały Psałterz) na modlitwach i

nabożeństwach nie poznaliśmy Bożego planu, ukazanego przecież w Słowie. Dla katolika odpowiedź jest oczywista: Czytając ustęp sprzeczny z nauką kościoła, zawsze uznawaliśmy, że widać błędnie go interpretujemy. Słyszac Psalm 18,3: „Bóg mój skała moja...” i Psalm 62,6: „ONCI [Bóg] sam JEST SKAŁA moją zbawieniem mojem”, albo ignorowaliśmy płynący z nich wniosek, że to nie Piotr jest ową Skałą, albo stwierdzaliśmy, iż nasza znajomość Pisma nie wystarcza, aby słowa te rozumieć. Tak też było z ustępami Starego i Nowego Testamentu odczytywanymi w Liturgii Godzin. I tak fragment z Listu do Rzymian 5,1: „Będąc tedy usprawiedliwieni z wiary...” rozumieliśmy jako: „Będąc tedy usprawiedliwieni z wiary w kościół rzymskokatolicki...”

Resztę wieczoru po niesporach spędzaliśmy zwykle w celi, gdzie w samotności mieliśmy dążyć do „jedności z Bogiem” poprzez czytania duchowe, medytację i modlitwę. Reguła karmelicka zwraca szczególną uwagę na ten właśnie aspekt życia zakonnika zalecając: „Trwaj w celi dzień i noc, rozważając Bożą regułę”. W rzeczywistości jednak masa czasu przecieka przez palce w beczynności i nudzie.

Kolejna godzina cichej medytacji to chór. Klasztorny dzień kończyła kolacja: chleb i herbata oraz modły wieczorne i biczowanie.

Umartwienie ciała

Gdy po powrocie każdy mnich stawał przed drzwiami swej celi, nadchodził czas biczowania. Na sygnał przełożonego gasło światło; zakonnicy zdejmowali część odzienia i biczowali się po nagich udach śpiewając bardzo powoli po łacinie Psalm 51. Biczem był potrójny sznur przeciągnięty przez tkany uchwyt, tworzący sześć końcówek, z których każda mierzyła około 40 centymetrów. Końcówki oblewano woskiem pszczelim, aby były twardsze. Dotkliwość uderzeń zależała oczywiście od gorliwości zakonnika, zwykle jednak lała się krew. Pod koniec psalmu ojciec przełożony odmawiał kilka modlitw, zakonnicy zaś na powrót wkładali odzienie. Gdy zapalało się światło, klekali przy celach. Ojciec przełożony przechodził korytarzem błogosławiąc każdego, oni zaś całowali jego szkaplerz (dwa kawałki materiału na piersi i plecach), po czym wracali do cel. Tak kończył się klasztorny dzień.

Gdyby uczynki mogły zbawić, karmelita byłby pewien zbawienia, wiodąc żywot tak pełen umartwień. Ale List do Rzymian 3,20 mówi, że „Przeto z uczynków zakonu nie będzie usprawiedliwione żadne ciało przed oblicznością jego, gdyż przez zakon jest poznanie grzechu.” Przeraza mnie świadomość, że co dzień tysiące zakonników, zakonnice i miliony katolików świeckich spełniają niezliczone uczynki, wierząc, że zostanie im to policzone za zasługę. Nie wiedzą, że „Przetoż mamy za to, że człowiek bywa usprawiedliwiony wiarą bez uczynków zakonu.” (Rz 3,28) Nie znając tak naprawdę Słowa Bożego wierzyłem, że muszę sobie zarobić na niebo i wysłużyć je własną pracą. Trwałem w ciemności.

Śluby

Pod koniec nowicjatu (1935) złożyłem pierwsze śluby, a w roku 1938, w Święto Wniebowstąpienia złożyłem śluby uroczyste. Przytaczam ich brzmienie, aby ukazać, jak bardzo wiążący mają one charakter dla katolika.

Ego, Fr. Hugo a Sancta Teresa Margarita, facio meam Professionem votorum solemnum, et promitto obedientiam, castitatem, et paupertatem Deo, ac beatissimae Virgini Mariae de Monte Carmelo, et Reverendo patri Nostro, Fratri Petro Thomas a Virgine Carmeli, Praeposito Generali Ordinis Fratrum Carmelitarum primitivam praedicti Ordinis usque ad mortem.

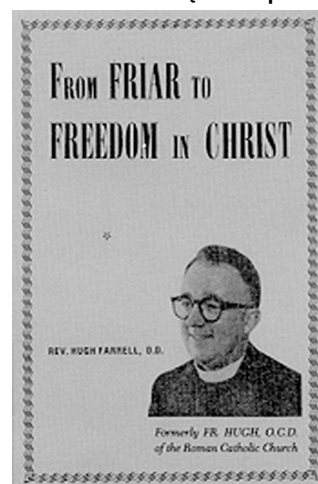
Co się tłumaczy: „Ja, ojciec Hugo od św. Teresy Małgorzaty, składam uroczyste śluby, obiecując posłuszeństwo, czystość i ubóstwo Bogu, Najświętszej Maryi Pannie z góry Karmel inaszemu Wielebnemu Ojcu Piotrowi Tomaszowi od Dziewicy Karmelskiej, Przełożonemu Generalnemu Zakonu Braci Karmelitów Bosych, oraz jego następcom, zgodnie z pierwotną Regułą wspomnianego Zakonu AŻ DO ŚMIERCI”.

W 1938 roku składając śluby uroczyste i ostatnie kończyłem teologię i szykowałem się do święceń kapłańskich. Otrzymałem tonsurę, święcenia niższe i święcenia subdiakonatu z rąk biskupa Francisa Clementa Kelleya z Oklahoma City. Nie pamiętam, aby trapiły mnie większe wątpliwości co do oficjalnej nauki kościoła; wyglądało na to, że perspektywę na resztę życia mam ustaloną. Ale Bóg miał inne plany. „A wiemy, iż tym, którzy miłują Boga, wszystkie rzeczy dopomagają ku dobremu, to jest tym, którzy według postanowienia Bożego powołani są. Albowiem, KTÓRE ON

PRZEJRZAŁ, TE TEŻ PRZENAZNACZYŁ NA TO, ABY BYLI PRZYPODOBANI OBRAZOWI SYNA JEJE..." (Rz 8,28-29)

Zwątpienie we władzę kapłańską

Ćwiczyłem wtedy odprawianie mszy; opanowanie jej reguł i rytuałów wymaga miesięcy. Wielekroć zapytywałem się, czy istotnie wierzę, iż po święceniach będę mógł nakazać Bogu, by zstąpił na ołtarz; wedle bowiem nauki Rzymu kapłan, nawet najbardziej niegodny, choćby i zaprzedał duszę diabłu, może zmienić substancje chleba i wina w prawdziwe ciało i krew, duszę i BÓSTWO Jezusa Chrystusa. Jeśli tylko prawidłowo wymówi słowa konsekracji i ma intencję jej dokonania, Bóg musi zstąpić na ołtarz w te substancje i przyjąć ich postać.² Im dłużej rozmyślałem owładzy kapłańskiej w pojęciu katolickim, tym mniej w nią wierzyłem. Wciąż wyznawałem spowiednikowi te wątpliwości, a on wciąż zalecał mi cierpliwość. Oznajmił, że nawet gdybym nie wierzył w ani jedną rzecz głoszoną przez kościół, i tak mogę być kapłanem, pod warunkiem, iż będę głosił to, czego się ode mnie wymaga. Wyjaśnił: „Twoja osobista wiara nie ma nic do rzeczy. Jesteś narzędziem w rękach Matki Kościoła, służącym szerzeniu wiary. Bądź lojalny wobec wiary rzymskokatolickiej, a wszystko będzie dobrze”.



Nie tak jednak miało się stać. Zwątpienie rosło z dnia na dzień. Przełożeni spostrzegłszy moją postawę orzekli, że mam problemy; lecz nic w tej sprawie nie zrobili. Szczerze mówiąc, mój najwyższy przełożony, ojciec prowincjał, szczerze mnie nienawidził. Zdawał sobie sprawę, iż wiem, że nie jest on człowiekiem wykształconym: Udając wielką mądrość i świętość, de facto nie posiadał żadnej z nich. Postanowił sobie za wszelką cenę złamać mnie i zniszczyć. Na szczęście stawał w mej obronie miejscowy przełożony, ojciec Edward, oddany przyjaciel, samemu narażając się na gniew prowincjała.

W końcu całkiem straciłem wiarę w kościół rzymski i jego dogmaty; przestało mnie też obchodzić, czy dowiedzą się o tym przełożeni.

W ciągu kolejnych miesięcy wiele razy rozważałem pomysł porzucenia zakonu; lecz wiedziałem, iż chcąc pozostać w zgodzie z sumieniem będę też musiał opuścić sam kościół rzymski. Słabo znałem poglądy protestantów; wolno mi przecież było czytać tylko autorów katolickich, a ci przekręcali i zniekształcali naukę Bożą i teologie protestanckie, odmalowując je jako narzędzia szatana. Nie wiedziałem, co począć, ale ufałem Bogu; wiedziałem, że On nie opuści mnie w czasie próby.

Ucieczka

2 sierpnia 1940 roku pojąłem, że od dawna nie wierzę w pewne dziwne nauki kościoła rzymskiego: Przeistoczenie, spowiedź douszną (przed księdzem udzielającym odpuszczenia grzechów) i nieomylność papieża (iż nie może się on mylić w wypowiedziach oficjalnych o wierze i obyczajach). Nie mogłem pozostać w klasztorze: Nawet jeśli zakonnik wierzy we wszystkie nauki kościoła, jego życie jest i tak uciążliwe; gdy jednak wierzyć w nie przestanie, życie staje się nie do zniesienia. Ukończywszy studia teologiczne, wiedziałem, że nie będę zdolny wrócić do wiary katolickiej. Stąd nic nikomu nie mówiąc postanowiłem opuścić klasztor jeszcze tego samego dnia.

Postępowałem ostrożnie. Wklasztorze gościł akurat prowincjał, mój osobisty wróg. Wiedziałem, że gdy poweźmie podejrzenie o mych zamiarach, zmusi katolickiego lekarza do podpisania odpowiednich papierów i wtrąci mnie do katolickiego zakładu dla obłąkanych. W uszach tych, którzy zetknęli się tylko z dobrodusznymi katolikami, brzmi to jak science-fiction, zapewniam jednak, że w szpitalach psychiatrycznych Ameryki, Irlandii i innych krajów przebywa wielu księży i zakonników, których zamknięto tam z tego tylko powodu, że stracili wiarę w papieża i kościół rzymski i pragnęli go opuścić.

Gdy ojcowie odpoczywali podczas poobiedniej sjeisty, po cichu wyśliznąłem się tylną furtką. Schroniłem się w ośrodku YMCA w San Antonio. Wiedziałem, że prowincjał i jego pomocnicy nie będą chcieli ujawniać sprawy przed teksańskimi pastorami protestanckimi, toteż zrezygnują z prób ujęcia mnie. Skontaktowałem się z kilkoma pastorami i przedstawiłem im sytuację; później pojechałem do Houston, miasta bardziej protestanckiego niż San Antonio - mieszkało tam „tylko” około 60 procent hiszpańskojęzycznych katolików.

Kaznodzieja - bez Chrystusa!

Ale nie byłem nawrócony. Nigdy szczerze nie opowiedziałem się za Chrystusem, sądząc, że do zdrowia duchowego w zupełności wystarczy rozumowe uznanie teologii mojego nowego kościoła. Rozpocząłem pracę jako protestancki kaznodzieja i aż przez kolejne 15 lat służyłem Bogu na rozmaite sposoby, nie posiadając jednak pewności zbawienia!

Nie miejsce to i czas, by opisać wszystko, co spotkało mnie przez te 15 lat. Wiodłem świeckie życie; bywało, iż szczyciłem się, że jestem dokładnie taki jak ludzie niewierzący. Pewnego dnia, jeśli Pan pozwoli, chciałbym napisać książkę o Jego wielkim miłosierdziu i cierpliwości podczas tego „wygnania”.

Lecz wszechpotężna łaska działała w moim życiu. „Duchci jest, który ożywia, ciało nic nie pomaga; [...] I mówił: Dlatego moi wam powiedział: Iż żaden nie może przyjść do mnie, jeźliby mu nie było dane od Ojca mojego.” (J 6,63.65) Wpierw jednak czekała mnie próba: Uznałem, że opuszczenie kościoła rzymskiego było błędem, i w 1955 roku wróciłem na jego łono. Za pokutę wysłano mnie do klasztoru Trapistów. Pojechałem chętnie, gotów na wszystko, byle tylko zabezpieczyć sobie wieczność; nie odrzucałem niczego, co starano się mi wpoić. Na nic się to jednak zdało. Pojąłem, że nie wierzę w naukę Rzymu i że nie może on uczyć prawdy, skoro znaczna część tej nauki to wymysł człowieka. Znów opuściłem kościół katolicki - znów nie dając nikomu znać o swych zamiarach. Wyruszyłem na wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, prosząc Boga, by objawił mi swą wolę. Modlitwy zostały wysłuchane, i to w taki sposób, że nie mogłem mieć wątpliwości co do woli Bożej.

Ku nawróceniu

Po prelekcji o politycznych skutkach wyboru katolika na prezydenta, którą wygłosiłem dla grupy przedsiębiorców, podszedł do mnie potężny mężczyzna, gratulując doskonałej znajomości kościoła rzymskiego i jego nauk. Napuszyłem się z dumy; ale on ciągnął: „Muszę jednakże rzec ci, przyjacielu, że masz najniższą temperaturę duchową, z jaką się spotkałem”. Ubódł mnie do żywego; odwróciłem się tyłem w nader arogancki sposób, przylepiając mu w myślach etykietkę stukniętego. Lecz ów rybak dusz z powołania nie zamierzał łatwo spuszczać mnie z haczyka. Należał do grupy zapaleńców zwanych „Rybakami Chrystusa”,

którzy wytrwale szukają zagubionych dusz, bez względu na nieprzyjemności i obelgi, które ich za to spotkają po drodze. Człowiek ów nieustannie deptał mi po piętach i nie dał za wygraną, póki się nie nawróciłem.

Zrazu nie godziłem się na jego propozycję. Oznajmił mianowicie, że muszę tylko przyjąć Chrystusa i w pełni Mu zaufać, „uwierzyć w Niego”, a będę miał życie wieczne. Ciągłe przypominał takie Jego słowa: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto w mię wierzy, ma żywot wieczny.” (J 6,47) Wydało mi się to zbyt proste, aby mogło być prawdziwe. Po co zatem - zapytywałem sam siebie - tyle różnych religii głosi tyle rozmaitych nauk, skoro sprawa jest aż tak prosta?

Ale wkrótce pojąłem, że nie jest to krok łatwy. Trzeba pokornie uznać, że jest się grzesznikiem: „Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej.” (Rz 3,23) i że może nas zbawić krew Chrystusa przelana na Golgocie: „... własnemu Synowi nie przepuścił, ale GO ZA NAS WSZYSTKICH WYDAŁ...” (Rz 8,32). Wyznałem, że jestem grzeszny, za psalmistą powtarzając: „Oto w nieprawości poczęty jestem, a w grzechu poczęła mię matka moja.” [Psa 51,7] Przyjąłem Chrystusa jako swego Zbawcę, nie licząc na nikogo innego, nawet na Najświętszą Maryję Pannę.

„Nie robiącemu zaś, lecz wierzącemu w tego, który usprawiedliwia niepobożnego, przyczytana bywa wiara jego za sprawiedliwość.” (Rz 4,5)

Po nawróceniu

Nie miałem już wątpliwości co do zbawienia. „Wszelki tedy, który by mię wyznał przed ludźmi, wyznam go Ja też przed Ojcem moim, który jest w niebiesiach” (Mt 10,32).

Od kiedy łaską Bożą zostałem zbawiony, pracuję w organizacji pomagającej księżom pojąć Ewangelię. Szybko uświadomiłem sobie, iż Bóg wzywa mnie do szczególnej posługi: uczenia chrześcijan, jak pozyskiwać dla Pana dusze katolików. Dlatego w 1959 roku zdałem się w wierze zupełnie na Pana, ufając, że zadba On o me potrzeby. I tak czyni. Ograniczone miejsce nie pozwala mi opowiedzieć o wszystkich dobrodziejstwach i miłosierdziu, jakich doznałem. Wielekroć przemierzałem Stany Zjednoczone i Kanadę, kilka razy prowadziłem

ewangelizacje w Europie. Wszędzie, gdzie w miłości i mocy zwiastowałem Ewangelię, przyjmowano mnie życzliwie.

Nie jest moim zamiarem siać nienawiść i rozgoryczenie, ale za pomocą Ewangelii ukazać, jak pozyskiwać katolików dla Chrystusa. Zawsze przypominam swym słuchaczom o cudownych słowach z pierwszego rozdziału ostatniej z Ewangelii, Ewangelii Jana, odczytywanych pod koniec każdej mszy okolicznościowej: „Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi TYM, KTÓRZY WIERZA W IMIE JEGO”. [J 1,11+12] Niech Imię Jego będzie pochwalone na wieki. AMEN.

Hugh Farrell, nawrócony ksiądz

Hugh Farrel urodził się w Stanach Zjednoczonych. Po nawróceniu niestrudzenie pracował w dziedzinie głoszenia i ewangelizacji w całej Europie, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. W międzyczasie Pan powołał go do siebie.

(Przekład całego świadectwa: Aleksandra Czwojdrak i Meciej Wierszyłowski. Opublikowane w książce „Daleko od Rzymu...” (Bennett/Buckingham), Warszawa 2004. Tekst w załączniku został przetłumaczony z języka niemieckiego za pomocą DeepL.com (wersja darmowa).